

## Deszcz

Pada. Miliony kropel szybują w odwiecznej drodze od nieba ku ziemi. Ziemia czeka na nie chciwa zaznania ich wilgotnej pieśczoły. Wyciągam rękę i patrzę na delikatny taniec drobin zawieszonych w oczekującym Pomiedzy. Jedna z nich uderza w moje palce i nieskończenie wolno kończy swoje istnienie w ostatnim rozprysku. Pada.

Fenomen deszczu zawsze budzi we mnie uczucie podziwu połączone z melancholijną zadumą. Czy ktoś z ludzi był świadkiem pierwszego deszczu? Czy ktoś będzie świadkiem ostatniego? Uśmiecham się do własnych myśli i cofam rękę. Krople znowu bez przeszkód szybują ku ziemi, spełniając się w swej odwiecznej misji.

Bar, ku któremu zmierzam jest niewielki – pewnie lepszym określeniem byłaby „spelunka”. Czego można się spodziewać po tej zapadłej dziurze, której jedyną ulicę właśnie przemierzam? Mój długi płaszcz jest już prawie tak szary, jak wszystko, co mnie otacza. Jeśli miasta są jak ludzie, to ten człowiek jest w ostatnim stadium agonii. Cierpi na śmiertelną chorobę - zmęczenie życiem. Jedzenie ma tu smak popiołu, a trawa - jego barwę. Emocje są dawno zapomnianym echem, jak nauczona w dzieciństwie modlitwa, której znaczenie zabrało gorzkie przekonanie o nieistnieniu Boga. Boga, w którego dziś wierzą już tylko Jego aniołowie. To miasto umiera jak schorowany człowiek.

Drzwi baru - którego nazwa natychmiast wylatuje mi z głowy - jeszcze pamiętają, czym jest życie. Kiedy dotykam ich szorstkiej, chropowatej powierzchni, prawie czuję myśli drzewa, z którego powstały. Okrągły sęk, który połyskuje spod niechlujnego maźnięcia lakierem jest wszystkim, co pozostało po ostatniej gałęzi dumnego dębu. Gdybym tylko chciał, mógłbym przywołać jego obraz i szum jego liści. Mógłbym roztopić się w cieniu, który niegdyś rzucał. Czy gdyby drzewo potrafiło odczuwać, pragnęłoby, abym tak uczynił? Przez chwilę bawi mnie to pytanie, ale to mija. Strząsam z siebie tę filozoficzną zagadkę i pozwalam, aby spłynęła ze mnie razem z tymi paroma kroplami deszczu, pomiędzy którymi nie udało mi się przejść. Wchodzę.

Dusznna atmosfera uderza jak cios wymierzony w podbrzusze. Zapach takiego miejsca jest ciężki i oleisty. Pot zmęczenia, pot niepewności, pot pożądania mieszają się ze sobą wśród ciał młodych i starych – jednakowo pozbawionych złudzeń.

Wydaje się, że nikt nie dostrzegł mego wejścia, ale do tego już się przyzwyczailem. Jedyna barmanka – niska, latynoska dziewczyna, której najlepszy czas już przeminął, omija mnie kołyszając zawodowo biodrami i stawia na pobliskim stoliku tacę wypełnioną naczyniami z tequilą. Moje oczy prześlizgują się po innych ludziach. Kilku robotników przyszło ochłodzić się mocnym, meksykańskim piwem. Nieciekawe typy, żyjące z dnia na dzień. Są z gatunku takich, którzy sprzedadzą własne matki, aby za zarobione miedziaki móc beznadziejnie szukać własnych marzeń - na dnię kolejnej butelki. Dwie nastoletnie dziwki znudzonym wzrokiem usiłują zachęcić jakiegokolwiek klienta. Cichym szeptem wymieniają między sobą uwagi. To dzieci, które przedwcześnie skazano na starość, choć one same pewnie nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że coś straciły.

Dostrzegam wolny stolik i zajmuję przy nim miejsce. Krzesło, na którym siadam jest stare i zniszczone jak wszystko dookoła. Rzucam kapelusz na stół i rozglądam się ponownie. Napotykam wzrok jakiegoś pijanego menela, który patrzy się na mnie niewidzącym wzrokiem przegranego hazardzisty, po czym odwraca wzrok. Uśmiecham się do niego przepaszająco, choć on i tak tego nie widzi. Wentylator pod sufitem wolno, jakby z oporem miesza zastałe powietrze, leniwie rozganiając kilka ospałych much. Gwar rozmów przepływa przeze mnie, a ja na chwilę daję się ponieść jego prądowi. W tym leniwie gnijącym miejscu nie ma nic innego do roboty - może poza pić na umór. Wtedy dostrzegam w tłumie Ją.

Może i jest jedną z wielu – jeszcze jedną smutną twarzą w masie podobnych, ale dla mnie jest inna. Jej czerwona suknia jest jak płomień; kusi natarczywością koloru w tej mętnej zalewie ludzi, szarych jak brudne ulice. Kobieta woła mnie swoją wyjątkowością, jakby była jedynym żywym człowiekiem w tym mieście, co pewnie jest zresztą prawdą.

Ile ma lat? Nie wiem, ale nie jest już świeża jasną, poranną młodością. Zaczęła odczuwać upływ czasu, choć nadal jej ciało jest prężne i mógłbym przysiąc, że każdy mężczyzna z tego zapyziałego baru oddałby parę lat nędznego życia za jedną noc przy jej boku. Kątem oka widzę, jak dwie młode dziwki przy ladzie nachylają się ku sobie w złośliwym i zazdrośnym komentarzu.

Może ja jestem jedynym, który patrzy na nią inaczej, niż tylko przez pryzmat jej ciała? Och, oczywiście - podoba mi się. Potrafię docenić prawie doskonałą linię talii, którą umiejętnie potrafi podkreślić strojem. Prowokującym, lecz nie wyzywającym. Jest jak delikatna zachęta, a nie jak wulgarna obietnica. Ma doskonałe ramiona, które lubi odkrywać – może dlatego tak dobrze jest jej w tej sukni? Jej piersi, choć chowają się za wzdętym ciemnym wzgórkami materiałem, skupiają teraz całą uwagę rozmawiającego z nią mężczyzny. Jestem przekonany, że marzy o ściskaniu tych ponętnych kształtów swoimi spoconymi rękami. Jest w tym przewidywalny i żaloszny do granic banału - jak każdy facet w tym barze; gotów do krótkiego, zwierzęcego aktu, mającego na celu wyłącznie swoje zaspokojenie. Budzi to we mnie obrzydzenie, choć z drugiej strony przyznaję przed sobą, że byłbym gotów godzinami studiować drogę kropli wina powoli zsuwającej się po zaokrągleniach jej oczekującego ciała. Może więc nie różnimy się za bardzo – on i ja?

Aby odegnać takie przemyślenia patrzę wyżej, ku jej białej, prześlicznie przegiętej szyi, na którą właśnie opadł kosmyk czarnych jak skrzydło kruka włosów. Jej ucho odcina się białą na ich tle i w tej chwili rozumiem poetów, którzy opiewają skórę o barwie kości słoniowej. Szukam spojrzeniem jej oczu; oczu w których tętni życie, ambicja i tęsknota za lepszymi czasami. W jej czarnych źrenicach odbijają się jej wszystkie marzenia, ulotne jak nocne motyle.

Napotyka mój wzrok i na chwilę uśmiech, który przybrała staje się szczery. Stoi opodal, rozmawia z tym obleśnym gringo, ale patrzy na mnie, jakby próbowała sobie przypomnieć skąd mnie zna. Każdy z nas zna to uczucie, gdy ktoś zupełnie nieznajomy wydaje się nagle być nam bliski, a jego imię rzuca nieuchwytny i płochy cień gdzieś w ulotną przestrzeń pamięci. Wreszcie, po trwającej kilka sekund wieczności, moja Nieznajoma wstrząsa śliczną głową, a jej niesforne włosy nadają jej uroczy wygląd zbuntowanego podlotka. Przez chwilę staje się młodsza o dobrych kilka lat i widzę, że ten dostrzega to również gość, z którym rozmawia. Przenoszę na niego spojrzenie.

Od razu wydał mi się antypatyczny, ale czy mam prawo do odczuwania takich emocji? Ma dobre powyżej pięćdziesiątki, jest gruby i spocony jeszcze bardziej niż inni bywalcy tej knajpy. Biała marynarka, niegdyś elegancka, teraz jest wyplamiona i pognieciona, a chusteczka w jej kieszeni – prostacka i pretensjonalna. Facet ma brzydką, nalaną twarz buldoga. Jest brzydki i obleśny - o czym doskonale wie - dlatego, aby pognębić innych mężczyzn w sali, z wstrętym uśmiechem kładzie swoją łapę na delikatnej dłoni mojej Pani. Ona nie cofa ręki, choć wiem, że rozpaczliwie stara się myśleć w tej chwili o kimś innym. Jakże chciałbym teraz być tym kimś...

Wsluchuję się w wibracje skomplikowanej geometrycznej figury, rozpiętej w oczekiwaniu. W jej wierzchołkach Ona, obleśny facet i cała reszta ludzi. Gdzieś obok stoję ja, obserwując jak zza sklepowej szyby bieg wypadków. Tylko ona dostrzega moją obecność w tym dziwnym tangu bez muzyki i ruchu. Tylko ja jestem w stanie dostrzec jej prawdziwe ja, ukryte za tyloma maskami, które codziennie zakłada; dopasowanymi tak, że stały się już jej prawdziwą twarzą.

Czy czuliście kiedyś, oddychając parnym powietrzem, jak w powietrzu wzbiera burza? Na chwilę przed pierwszą kroplą zapada głęboka cisza; jeśli dobrze się w nią wsłucha, można odsunąć poza nią wszystkie głosy - nawet stojąc w środku gwarne miasta. To uczucie jest wręcz erotyczne, jak ostatni wdech kochanka przed obezwładniającą ekstazą spełnienia. Cisza wypełnia umysł, przestrzeń i cały kosmos. To z takiej ciszy, narodził się kiedyś Wszechświat, wypełniając Pustkę euforyczną powodzią rodzącej się Materii. Wielki Wybuch, kosmiczny orgazm, którego echo nosi w sobie każda żywa istota, rzuca do dziś Ciebie na osnowę rzeczywistości. Na chwilę przymykam oczy, próbując przypomnieć sobie to uczucie, gdyż moje zmysły wyczuwają zbliżający się kryzys.

Drzwi się otwierają z hukiem i staje w nich niewysoki mężczyzna. Jest jak pierwsza kropla deszczu... W jego oczach widzę wirujące szaleństwo i ciemność. Emocje, które rozpacza nieznanemu, pachną jak płonący las. Jest w tym wszystkim woń rozpacz, nienawiści i nadziei. Gdzieś poza jego plecami, wypełniającym szarość otwartych drzwi czarnym konturem, moje oczy zauważają pojedyncze krople dżdżu zawieszony w powietrzu.

Jego spojrzenie, jak ciśnięty sztylet przebija się przez całą salę i uderza w stojącą przy ladzie parę. Moja Pani cofa rękę i z przestachem w oczach unosi ją do ust. Ruch, jaki wykonuje jest esencją matematycznej doskonałości. Grubas nie zdążył nawet obrócić głowy. Mój wzrok kieruje się znowu w stronę nowoprzybyłego. Słyszę podniecone głosy ludzi, którzy dostrzegają trzymaną w jego ręku broń. Staromodny Colt jest groteskowo wielki w jego dłoni. Jego lufa chwieje się jeszcze niepewnie, ale może być to także skutek nadmiernej ilości taniej whisky, której niedopita butelka znajduje się w drugiej ręce Nieznajomego.

Przez mgnienie oka wydaje mi się, że potrafię odrzeć rozgrywającą się przed moimi oczami scenę z więzów fizyczności. Widzę dwa płomienie uczuć, stojące naprzeciw siebie, gorące, niespokojne duchy, przytłaczające sobą poszarzałe, nędzne otoczenie. Na krótki moment widzę rozpacz, ból i namiętność w całej swojej krasie. Szaleństwo ich emocji krzyczy do mnie przez ciszę próbując wyrwać się na ten świat, a ja chłonę je całą swoją istotą. Upajam się tym momentem, jak konający z pragnienia upaja się łykiem zimnej wody. Potem świat powraca w okowy rzeczywistości i znowu widzę wnętrze małej, obskurnej knajpy. Kobieta wyciąga do płuc łyk powietrza; Nieznajomy chwiejnie unosi broń. Jej koniec drży i przesuwają się od Obłeśnego Grubasa do mojej Pięknej Pani i z powrotem. Mężczyzna zamyka oczy ...

Rozlega się huk, pada strzał. Wyrzucony strumieniem gazów pocisk mknie przez niewielkie pomieszczenie, z wyciem rozdzierając przed sobą zasłonę stęchłego powietrza. To tylko mgnienie oka, zanim osiągnie celu - lecz dla mnie trwa on niczym wieczność. Podnoszę się z krzesła i jednym skokiem rzucam się naprzód. Przez chwilę moje oczy zapisują groteskową scenę, gdy śmiertelny ołowiany posłaniec i ja wisimy w powietrzu, wśród zastygłych w zgrozie klientów baru. Świat uwięziony w ułamku wieczności... Potem czas znowu przyspiesza. Ciało ludzkie jest tak miękkie, tak kruche - a pocisk rewolwerowy tak twardy... Wgryza się żarłocznie w białą pierś dziewczyny, tuż pod linią czerwonej sukni. Pojawia się małe gejer karminowej krwi, rozpinając jej korale na niewidocznej pajęczynie zawieszony w powietrzu. Podziwiam jej strukturę, gdy przez ułamek sekundy walczy z odwieczną siłą grawitacji, wyciągającej już ręce po ulotną przestrzenną kompozycję. Chciałbym obejrzeć ten fenomen ze wszystkich stron, zanim zniknie, zwiędnie i zmiesza się z pyłem na podłodze - i prawie mi się to udaje.

Obowiązek jednak wzywa, krzyczy do mnie bezgłośnie otwartymi ustami dziewczyny. Wrzask wybuchnie dopiero za chwilę, teraz jeszcze trwa ten moment, w którym aktorzy dopiero przygotowują się do odegrania sceny dramatu - wybuchu nagłej i niespodziewanej paniki. Widziałem już tyle takich przedstawień ... a każde jest inne. Moja

ręka sięga pomiędzy zastygłymi ludzkimi manekinami i pewnie chwyta dłoń, w której jeszcze czuję ostatnie uderzenie pulsu. Zetknięcie się naszych ciał jest dla mnie jak uderzenie pociągu. Zalewa mnie fala emocji, myśli i obrazów. W jednej chwili rodzę się i umieram; w jednym momencie staję się kobietą i żyję chciwie wszystkimi dniami Wcześniej i Potem. Krzyczę pierwszym powitaniem zimnego świata i krzyczę w uniesieniu, gdy Juan uderza we mnie gorącą falą spełnienia. Patrzę ze zdumieniem na swoje zmieniające się ciało, gdy dowiaduję się, że dam życie nowej istocie. A potem wraca głucha, zimna pustka i przypominam sobie, że właśnie odbieram życie tej dziewczynie - Marii... tak ma... tak mam... tak mamy na imię, zjednoczeni w tym jednym, niepowtarzalnym mgnieniu oka.

Maria patrzy na mnie z wielkim niezrozumieniem w pięknych, czarnych oczach, które widziałem już tyle razy. Spogląda przez ramię i widzi jak jej ciało uderza o podłogę z głuchym odgłosem. Jest taka piękna stojąc wyprostowana wśród chaosu, który przechyla się przez krawędź narodzin. Czerwona, smukła róża pośród żalonych chwastów, które są o wiele bardziej martwe niż ona. Znowu patrzy mi w oczy - teraz już wie jak mam na imię. Wypowiada je cicho, a ja odpowiadam jej imieniem i patrzę, jak się rozwiewa - jak mgła w promieniach słońca.

Dopada mnie rzeczywistość sceny, rzuca się na mnie jak wygłodniałe zwierzę. Wokół mnie wybucha wrzawa głosów i myśli. Pisk kobiet, podniesione głosy podpitych macho. Kątem oka dostrzegam błysk jakiejś broni, ale wiem, że nie rozlegnie się następny strzał. Czas na mnie. Juan stoi w przerażeniu wpatrując się w dymiącą lufę swojego Colta. Kiedy przechodzę obok niego, muska mnie przelotnie strumień jego myśli. Tylko ja go rozumiem, tylko ja wiem, że miało być inaczej. Cudem ocalały gringo już zdążył się schować, wciskając napęczniałe ciało za róg szynkwasu.

Ludzie tłoczą się przy nieruchomym, stygnącym ciele. Znowu dobiega mnie echo słowa, które znam na pamięć od tak długiego czasu. Słowa, które usłyszałem owego dnia, gdy spotkałem pierwszą istotę zdolną do odczuwania emocji. Słowa, które od tego dnia bezustannie towarzyszy mi w drodze. „Niesprawiedliwe”? Uśmiecham się smutno. Nie ma sprawiedliwości.

Jestem tylko ja.

Wychodzę przez drzwi, nawet nie trudząc się ich otwieraniem. Deszcz przestał już padać. To dobrze. Przedemną daleką drogą ...

Wojciech St. Mościbrodzki, 2005